

Polowaliśmy

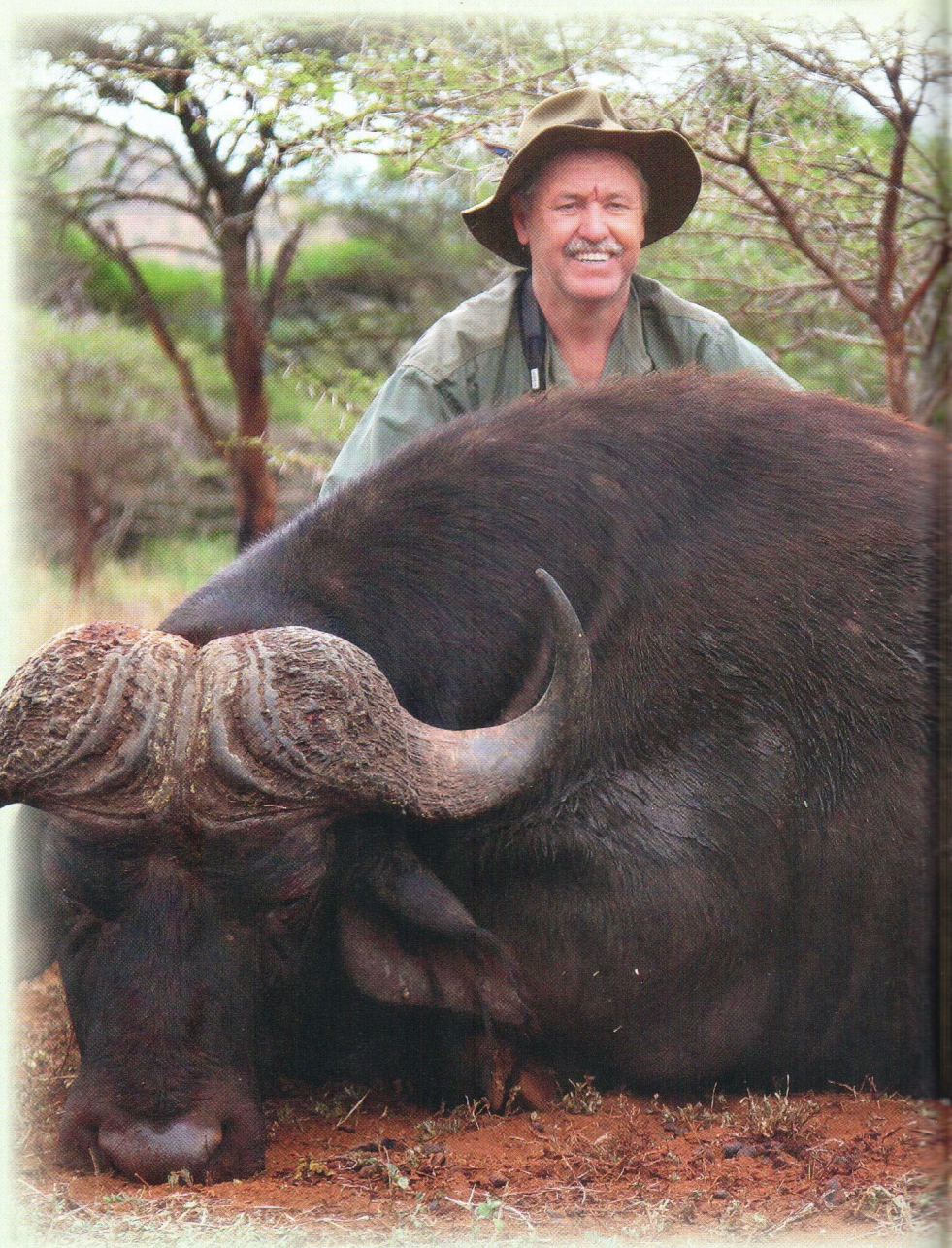
Z Janem Potockim urodzonym w Johannesburgu, myśliwym KŁ „Soból” z Krakowa – na temat życiowej pasji odziedziczonej po przodkach i realizowanej w najodleglejszych łowiskach świata rozmawia Bartosz Marzec.

Jak daleko sięgają tradycje łowieckie w Pańskiej rodzinie?

– Z pewnością czasów prehistorycznych (śmiech). Moi przodkowie, wśród których jest m.in. hetman Feliks Stanisław Potocki, pieczętujący się herbem Srebrna Pilawa, wywodzą się z Podola, z Tulczyna. Na ziemiach, które do nas należały, znajduje się Czarnobyl. Po awarii w elektrowni krążył taki dowcip: spotykają się dwie babuszki i jedna zwraca się do drugiej: „Słyszałaś, co się stało w Czarnobylu?”. „Nic nowego – odpowiada druga. – U Potockich ciągle bałagan”. Ale wracając do pytania: jeżeli czcigodni antenaci nie prowadzili akurat wojen z Turkami, czy nie ścigali po stepach Tatarów, w swoich majątkach oddawali się ulubionej pasji – polowaniu. I tak to trwało przez stulecia. Łowieckie historie Potockich, przywołujące czasem na myśl sceny z „Pana Tadeusza”, znam z relacji ojca, który po drugiej wojnie razem z moją mamą opuścił Europę i osiadł w Afryce Południowej. Tam się urodziłem i tam po raz pierwszy wziąłem do rąk sztucer. Był to repetier kalibru .243 z magazynkiem na trzy naboje.

Ile miał Pan wtedy lat?

– Jedenaście. Był rok 1964. Razem z kolegami ojca – m.in. Janem Szep-



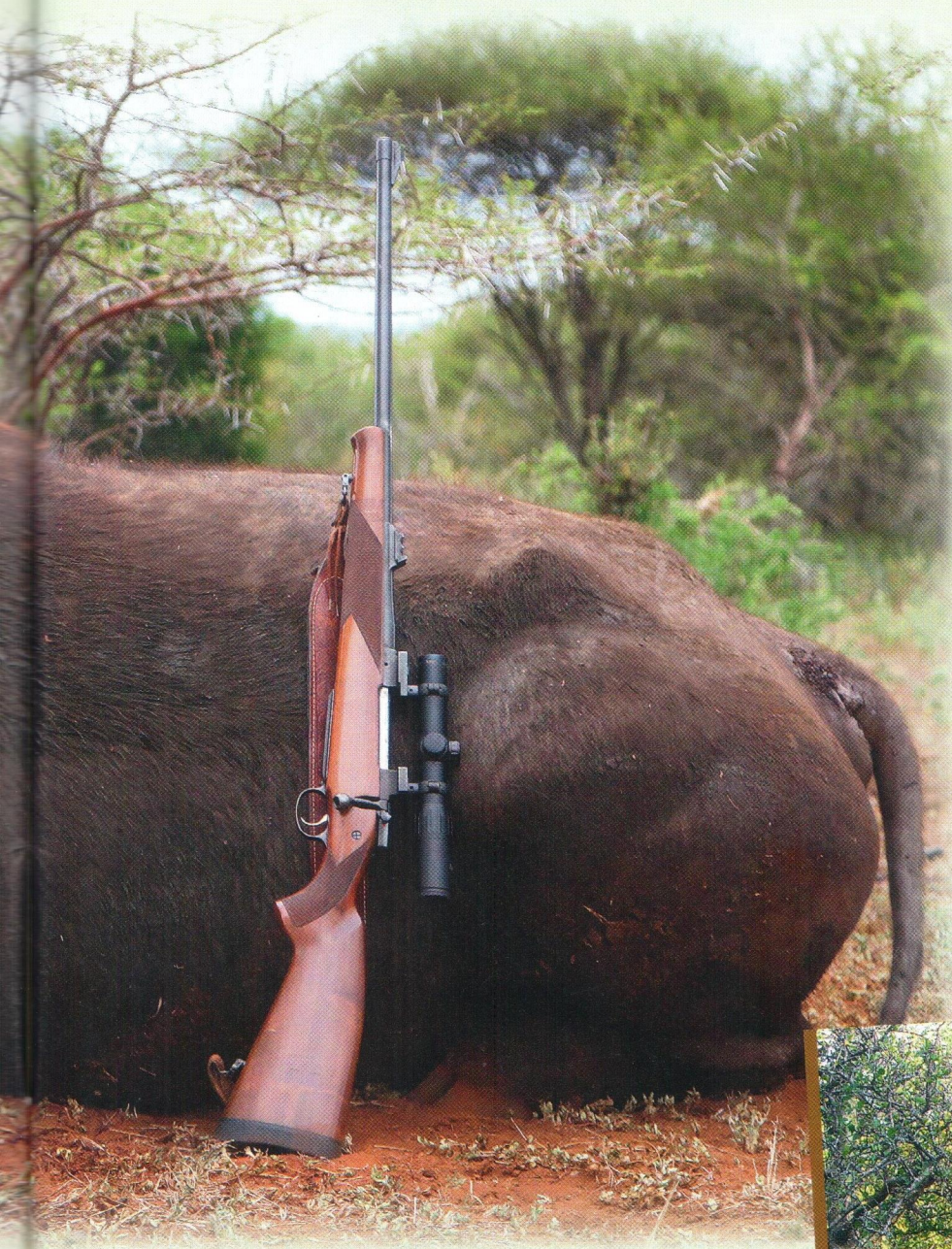
tyckim i Ludwikiem Cieńskim – pojechaliśmy na farmę o powierzchni sześciu tysięcy hektarów. Znajdowała się niedaleko Capetown. Polowaliśmy na szpringboki – ich rudle mieszały się ze stadami owiec i bydłem. O świcie wyruszyło kilku konnych, którzy mieli naganiać zwierzynę. Myśliwych rozstawiono w jednej linii, co trzysta metrów. Ludwik Cieński, który wówczas liczył sobie blisko osiemdziesiąt lat, gładko kładł szpringboki w odległości nawet 250 metrów. Na pokocie miał dwa-

dzieścia sześć sztuk. Ja znacznie skromniej – cztery, może pięć. W ten sposób pomagaliśmy farmerowi wykonać plan łowiecki, z czym sam by sobie w żaden sposób nie poradził.

Po odbyciu służby wojskowej w South African Defence Force wyjechał Pan do Francji, do rodzinnej posiadłości Montrésor.

– Znajduje się tam zamek, którego historia sięga XI wieku. Ucierpiał podczas rewolucji francuskiej. Jako-

od zawsze



bini poobcinali głowy figurom świętych, zabudowania popadły w ruinę. W połowie XIX stulecia podupadły majątek znalazł się w polskich rękach. Z początku należał do Branickich, później do mojej babki. To właśnie tam, w połowie lat 70. XX wieku, poznałem uroki polowań par force. Moi przodkowie urządzali takie łowy w Antoninach na Wołyniu jeszcze przed pierwszą wojną światową. W Montrésor warunki są znakomite, bo posiadłość ma blisko dwa tysiące hektarów, z czego półtora

tysiąca to las. Najpierw idzie sfera psów, która podnosi zalegające w głuszy jelenie lub dziki. Później, na głos trąbki, ruszają konni. Gonitwa trwa nawet cztery godziny.

We Francji lubiłem też polować na ptactwo. Gdy na ścierniska przylatywały gołębie grzywacze, razem

z kuzynami braliśmy śrutówki i znikaliśmy z zamku na całe dnie.

W 1990 roku rozpoczął się dla Pana nowy etap łowieckiej przygody.

– Tak. Wówczas przyjechałem do Polski po raz pierwszy. Iwo Cielecki, mój ukochany wuj, zachęcił mnie, bym wstąpił do PZŁ. W tamtych czasach najbardziej kochałem wiosenne polowania na ciągach. Nadchodził maj, a ja stałem z dwururką na zrębie lub śródleśnej ścieżynie. I doskonale pamiętam to przeszywające uczucie, gdy z oddali dało się słyszeć chrapliwe zawołanie słonki. A gdy jesienią wybieraliśmy się na kuropatwy, lub zimą na zające, powracały do mnie łowieckie historie ojca, wspomnienia z czasów II Rzeczypospolitej, relacje ze świata, którego nie ma. Dziwne uczucie.

Dziś największe emocje budzi we mnie rykowisko. Co roku jeżdżę do Arłamowa. Zdarzyło mi się tam spotkać pana prezydenta Lecha Wałęsę. On wybierał się na grzyby, ja zaś tropić jelenie. Kiedyś o świcie stałem na skraju lasu. Niedaleko pięknie grał potężny byk. Niestety, było zbyt ciemno, by dostrzec, jakie ma poroże. W napięciu czekałem, aż mrok nieco ustąpi. Wtedy spomiędzy drzew, trzydzieści metrów ode mnie, wychynął piękny ▣



Urodziłem się w Afryce i tam po raz pierwszy wziąłem do rąk sztucer. Był to repeter kalibru .243 z magazynkiem na trzy naboje

basior. Zwiertzył mnie, momentalnie zawrócił i puścił się w stronę byka, płosząc go. Mogę powiedzieć bez przesady, że było to jedno z moich najpiękniejszych polowań. Niespełnione wprawdzie, ale z łowiectwem bywa tak jak z miłością. Czyż najbardziej nie poruszają nas historie pozbawione wymarzonego zakończenia?

Podejmuje Pan wyprawę na Kamczatkę.

– Zachęcił mnie do nich Tomasz Fidelus, który w tamtych stronach pozyskał rekordowe rosochy łosia wschodniosyberyjskiego. Ale tym razem



Rosjanie uczyli, by strzelać do uchodzącego niedźwiedzia. „W końcu się zatrzyma i stanie na blacie” – powtarzali. Ja się na to nie godziłem



W umówionym miejscu czekał na nas wojskowy helikopter, który zabrał nas do łowiska

polowaliśmy na niedźwiedzie. Z Krakowa poleciliśmy do Pragi, stamtąd do Moskwy i dalej do Pietropawłowska. Później jechaliśmy 300 kilometrów szutrową drogą w głąb Kamchatki. W umówionym miejscu czekał na nas wojskowy helikopter, który zabrał nas do łowiska. Nocowaliśmy w drewnianej chacie. O świcie wsiadaliśmy na sanie i okrywaliśmy się kocami. Trzeba pamiętać, że maj na Kamchatce jest nieco chłodniejszy niż u nas. Sanie ciągnęły skutery śnieżne. Przez cały dzień krążyliśmy po okolicy, robiąc nawet dwadzieścia kilometrów. Gdy przewodnik natrafił na świeży trop, ruszaliśmy w pościg. Rosjanie uczyli, by strzelać do uchodzącego niedźwie-

Co dwa lata z grupą przyjaciół wyruszam na safari do Mozambiku, Namibii lub RPA. Wyprawa trwa przeważnie dziesięć dni. Czasem przeciąga się do dwóch tygodni



dzia. „W końcu się zatrzyma i stanie na biał” – powtarzali. Ja się na to nie godziłem. Gdy przydarzyła się okazja, powiedziałem kierowcy, aby dodał gazu i zrównał się ze zwierzem. Przez krótką chwilę miałem okazję do strzału i ją wykorzystałem.

Regularnie wraca Pan do Afryki.

– Nie sposób o niej zapomnieć. Tam zostawiłem serce, tam błędę myślami. Zresztą, tak dzieje się z każdym, kto choć raz trafi na Czarny Ląd. To dlatego co dwa lata z grupą przyjaciół – m.in. Adamem Bispingiem i Jarosławem Laseckim – wyruszamy na safari do Mozambiku, Namibii lub RPA. Wyprawa trwa przeważnie dziesięć dni. Czasem przeciąga się do dwóch tygodni. Szczególnie pociąga mnie polowanie na bawoły. Jak wiadomo, są o wiele groźniejsze niż nosorożce czy lwy.

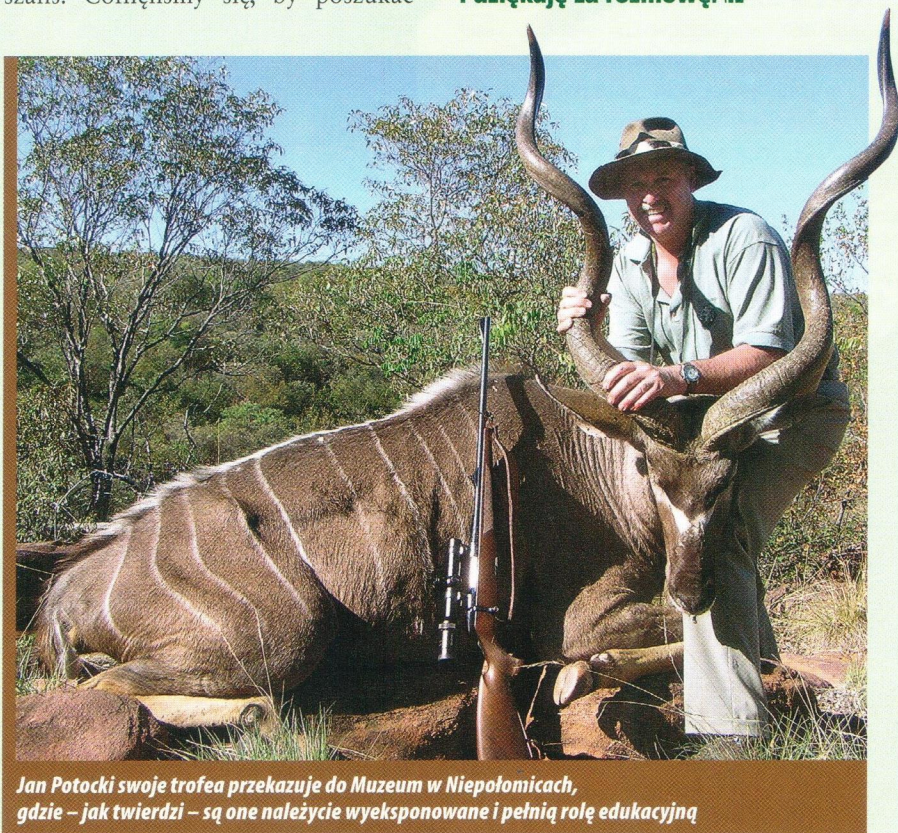
W kwietniu tego roku wybraliśmy się do Zululandu. Polowaliśmy na fermie o powierzchni dziewięciu tysięcy hektarów. Teren jest górzysty, poprzecinany wąwozami. W jednym z nich wytropiliśmy bawoła, który zżywał błotnej kąpieli. Gdy nas usłyszał, poszedł w busz. Szliśmy po tropie, kiedy przewodnik zasygnalizował, że bawół musiał się zatrzymać i jest blisko. Busz znacznie ograniczał widoczność, krępował ruchy. W przypadku szarży nie mielibyśmy szans. Cofnęliśmy się, by poszukać

miejsca, skąd widok byłby lepszy. Wtedy dostrzegliśmy bawoła. Pojawił się jak duch o piętnaście metrów ode mnie. Złożyłem się i pociągnąłem za spust. Strzał był czysty, komorowy, ale zwierzę już gnał w naszą stronę. Poprawiłem z drugiej lufy mojego ekspresu .375 Holland&Holland. W tym samym czasie także przewodnik zrobił użytek z broni. Trafił w łopatkę. Bawół poszedł w lewo, tak że zdążyłem przeładować i posłać swoją trzecią, a w sumie czwartą celną kulę. Zwierz pokonał trzydzieści metrów i padł bez życia.

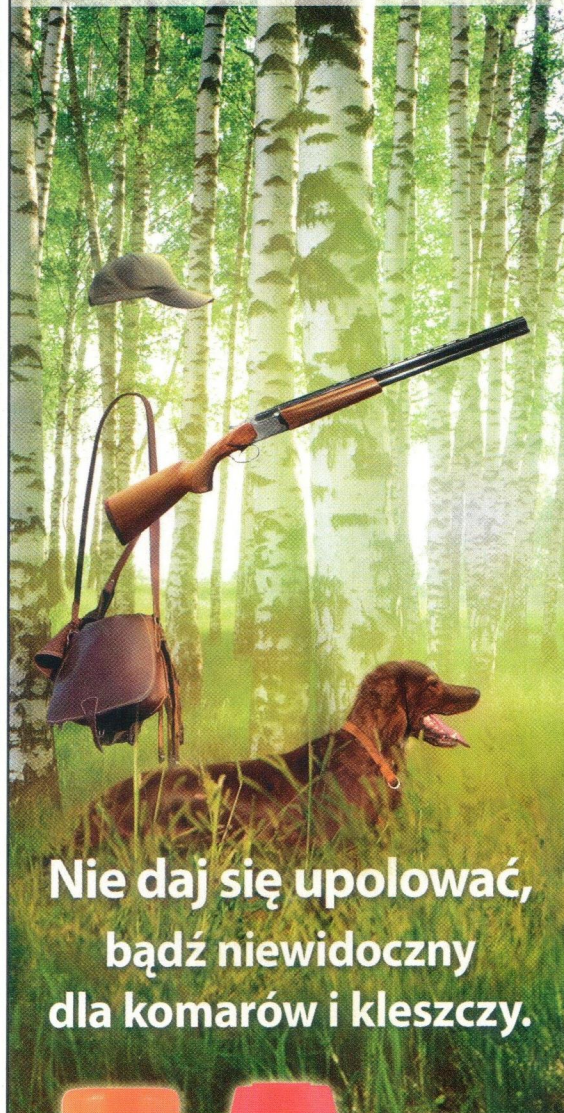
Trofea przekazuje Pan w darze Muzeum w Niepołomicach.

– Łowieckie zdobycze wymagają należytej oprawy. Czy może być lepsza? Poza tym trzeba pamiętać o walorze edukacyjnym. Zwiedzający mogą się przekonać, jak różne bywają ubarwienia zebr. Ze zdziwieniem odkrywają, że u guźców – odwrotnie niż u naszych dzików – szable są krótsze i mniej efektowne od fajek. Wierzę, że niebawem uda mi się zrealizować największe marzenie i powiększyć niepołomickie zbiory. Od pewnego czasu poluję na „małą dziesiątkę”, czyli na dziecięć najmniejszych antylop. Brakuje mi tylko blue dikera i suni z południowej Afryki.

W takim razie życzę połamania i dziękuję za rozmowę. III



Jan Potocki swoje trofea przekazuje do Muzeum w Niepołomicach, gdzie – jak twierdzi – są one należycie wyeksponowane i pełnią rolę edukacyjną



**Nie daj się upolować,
bądź niewidoczny
dla komarów i kleszczy.**



OFF! i Autan

zapewniają skuteczną ochronę przed komarami, kleszczami i innymi owadami latającymi.

Produkt biobójczy – używać z zachowaniem szczególnych środków ostrożności. Przed użyciem przeczytać etykietę.